Rok 1938 15 maja Nr 20

DZWONECZEK

pod redakcją ELI OLESKIEJ

DZIAŁ DLA MŁODSZYCH CZYTELNIKÓW „DZWONU NIEDZIELNEGO"

Z wierszyków góralki z Zawoi:

Przyjm nas, Mario!

Do Królowej nieba, ziemi
pójdźmy wszyscy wraz,
złóżmy serca Jej w ofierze —
Mario, przyjmij nas!

Przyjmij Mario pieśń Twej chwały,
usłysz pieśni ton,
wszak to wielbi Cię lud polski,
bo Cię kocha on.

Bądź nam Panią, Matką naszą,
i Królową też,
całą Polskę ukochaną,
jak swą własność strzeż!

Bolesława Zimermanówna.

Zwycięstwo Zygmuta

— Wiesz co, Zygmuncie, ty jesteś jeszcze prawdziwy żółtodziób. Trzymasz się mamusinej sukni, polujesz na cukierki. Patrz jaki ze mnie mężczyzna, jak wspaniale „zaciągam" się dymem!

— Mnie się zdaje, że ćmić papierosy to nie wielka sztuka, tylko skąd je brać.

— Ojciec twój pali?

— Pali.

— No to masz tytoń w domu.

— Ja jutro spróbuję.

Nazajutrz wieczorem zeszli się obaj koledzy. Felek miał kilka „płaskich", Zygmunt niedopałki.

— No pokaż, co umiesz — zadrwił Felek.

— Wielka rzecz. Już się pali — odrzekł Zygmunt — złożywszy usta w ciup, gdzie tkwił mały niedopałek.

Atakiem kaszlu powitał organizm Zygmunta dym zatruty nikotyną, ogarek papierosa wyleciał mu z ust, jak z procy, potok łez przysłonił mu świat.

— Tęgi z ciebie palacz — śmiał się Felek — pryskasz jak koń wyścigowy. No ale nie trać odwagi. Każdy początek ciężki. Weź „płaskiego" bo przy niedopałku opalisz sobie wąsy, ha! ha! ha!

Zygmunt ponownie wziął papierosa do ust i począł się „zaciągać", lejąc łzy i strasznie wykrzywiając twarz.

— Nic się nie bój, raz, drugi wykrztusisz się, a później pójdzie jak z płatka. Dla mnie każdy papieros był jakby bomba łzawiąca, a przecież się nie dałem, i dzisiaj widzisz, jak palę.

Kilka dni praktyki palenia, a papieros przestał być bombą łzawiącą, stał się natomiast przyjemną koniecznością, przechodzącą w nawyk, który miał niby znamionować mężczyznę.

Jednak nie na samej praktyce palenia miało się skończyć „pasowanie" żółtodzióba na mężczyznę. Ojciec Zygmunta zauważył stały ubytek tytoniu i zwijek, postanowił więc przyłapać „wspólnika". I oto pewnego, pięknego poranka odbył się bodaj czy nie najboleśniejszy akt „pasowania". Również matka odkryła przyczynę dlaczego Zygmunt skarżył się na nudności, brak apetytu, ból głowy i „morską chorobę".

Zygmunt był już jednak „zaawansowany" do tego stopnia, że postanowił znosić wszystkie „szykany" a nie zrezygnować z powagi mężczyzny. Od tej pory wszystkie pieniądze na przybory szkolne szły na papierosy, a potrzebne w szkole rzeczy wypraszał u kolegów. Przyciśnięty „potrzebą" sprzedawał za połowę ceny drugie śniadanie, byle tylko zaspokoić głód nikotyny.

Aż raz chciało nieszczęście, że dyrektor zakładu zaprowadził na wszystkich oddziałach drużyny harcerskie. W porywających słowach przedstawił ideał człowieka z prawdziwym charakterem i szczytne zasady, jakimi się kieruje organizacja skautowska.

Zygmunt z natury był zapaleńcem, więc pierwszy zaciągnął się pod sztandar, na którym widniał nakaz „Czuwaj“. Jakież było jednak jego rozczarowanie, gdy dowiedział się, że harcerz nie pali... Że on chcąc sprostać zadaniu członka, będzie musiał wyrzec się nabytej z takim trudem dumy mężczyzny — papierosa. Za żadną cenę nie chciał się wycofać z szeregów harcerskich, ale o niepaleniu nie mógł nawet myśleć. Zmagał się sam z sobą, by choć częściowo wstrzymywać się od nieszczęsnego nawyku. Próbował papierosy zastępować cukierkami, którymi gasił nieznośne pragnienie tytoniu.

— Jakąż mękę przeżyłem, gdy się dopiero uczyłem „sztuki“ palenia, — mówił sam do siebie, a dzisiaj stokroć jeszcze trudniej pozbyć się tego nałogu! Ale jeśli się przemogę, jeśli odniosę nad sobą zwycięstwo, wtedy naprawdę będę się uważał za mężczyznę. Wracam więc do roli „żółtodzióba“, bo chcę sprostać zadaniu członka, tak pięknej organizacji, która w zamian za różnoraką wstrzemięźliwość pozwoli mi uzyskać hart ducha i sprawność ciała, znamionując prawdziwego mężczyznę w najlepszym tego słowa znaczeniu.

Tak, marzył Zygmunt, łykając nadmiar śliny, którą powodował głód nikotynowy.

Walka była długa i ciężka, ale szalę zwycięstwa w przełomowej chwili przechyliła pomoc nadprzyrodzona, do której uciekł się młodzieniec wychowany w zasadach katolickich przez swych bogobojnych rodziców. S. M. K.

Wśród czarów żywej baśni

Wiadomo, że najpiękniejsze ptaki na świecie żyją w krajach gorących, a więc w środkowej i południowej Afryce, w Australii, w południowej Ameryce, przede wszystkim w owym raju ziemskim, za jaki są uważane wyspy Hawajskie (leżące na oceanie Spokojnym).

Z tych to właśnie krajów otrzymuje Europa najcudniejsze okazy świata ptaszęcego za pośrednictwem specjalnych handlarzy. Jeden z nich zwierzał się pewnej dziennikarce francuskiej ze swoich przeżyć i wrażeń, jakich doznaje wśród czarującej przyrody owych krajów i ich skrzydlatych mieszkańców. Żyje sobie ptasznik Peterson w dziewiczej puszczy w przenośnym domu między dwoma drzewami. Dom jest niski, a złożony z samych prawie okien i ogromnej werandy, która jest właściwie klatką dla tysięcy ptaków, mających w niej złudzenie wolności. Tam, z łokciami wspartymi na kolanach, ze wzrokiem wciąż wytężonym, obserwuje on całymi dniami życie ptaków i upaja się ich czarownym śpiewem, a wiadomo, że ptaki krajów południowych śpiewają prześlicznie.

Kocha on bardzo swój zawód i spełnia go z radością, gdyż pragnieniem jego jest dostarczanie ludziom tego, co najpiękniejsze, najbarwniejsze, śpiewające i żywe i dawanie im możności poznania choć w drobnej części cudów przyrody krajów, których sami nigdy nie zobaczą. Jest też przekonany, że przez współżycie z ptakami człowiek staje się lepszy, że to wyczuwanie dłonią bicia małego serduszka bezbronnej ptaszyny daje człowiekowi najgłębsze wzruszenia i budzi najtkliwsze uczucia.

W dwojaki sposób łowi się tam ptaki: albo za pomocą siatek, albo podstępem, a tego ostatniego używa się głównie przy wodopoju, kiedy ptactwo jest mniej ostrożne. Siatki rozpościera się na ziemi, posypując je dla zwabienia odpowiednim pożywieniem, a gdy ptaki na nich usiądą, zaciąga się je zręcznie wraz z upragnioną zdobyczą. Niekiedy rozpina

się siatki w gąszczach lub w krzakach: do tego sposobu używa się siatek z czarnych jedwabnych nici.

Bardzo cenione są t. zw. rajskie ptaki, i te łowi się głównie w Nowej Gwinei (wyspa na oceanie Spokojnym w pobliżu północnych brzegów Australii, druga z rzędu co do wielkości wszystkich wysp na ziemi). Są to najmniejsze ptaszynki na świecie, a odznaczają się najcudowniejszymi kolorami upierzenia. Bywają m. in. czarne z zielenią i purpurą, z końcami piórek niebieskimi. Ciągle tańczą, a wtedy wyglądają, jak kręcąca się kolorowa kulka. Niestety, około miliona rocznie ginie rajskich ptaków jako ofiary dostarczające pięknych piórek bogatym modnisiom świata.

Wyspy, Jawa i Sumatra (największe z wysp Sundajskich leżących na południu Azji, między oceanem Wielkim a Indyjskim), posiadają m. in. ciekawego ptaszka, zwanego tkaczem, którego gniazdo wygląda jak piękna tkanina. W dodatku wyszukuje on sobie najpiękniejsze kwiatki, zrywa je sam i ozdabia nimi gniazdko.

Z Australii przywożą ptasznicy ptaka-lirę, mającego ogon w kształcie tego instrumentu, a odznaczającego się tym, że umie naśladować każdy głos usłyszany, co często wprowadza w błąd zarówno ludzi jak zwierzęta. Krajowcy nazywają go ptakiem mówiącym kilkoma językami.

W Afryce środkowej znowu żyje ptaszek t. zw. gwiaździsty, który — gdy deszcze padają za długo — umiera. Ma on śliczny zwyczaj zaznajamiania się z samiczką, którą pragnie uczynić swoją towarzyszką życia. Oto zbliża się do niej powoli i tańcząc wciąż w koło, podaje w dzióbku trawkę lub kwiatki. Kiedy dary jego zostaną przyjęte, wtedy skrzydlata parka śpiewa wspólnie pieśń radosną.

Mimo, że wszystkie wymienione powyżej kraje dostarczają ciągle milionów ptaków, są jednak między nimi pewne gatunki bardzo rzadkie, których wywozić nie wolno, chyba za opłatą wysokiego cła, inaczej bowiem można narazić się na dotkliwe kary.

ROZSYPANKA

ber—bie—Bo—cha—cha—co—co—Dzie—dzie—dy—gu—gwia—i—i—ich—ja—je—kot-któ—ląd—ła—mo—mo—mo—mor—na—na—nie—o—o—o—po—rej—rze—ska—ska—słu-świę—ta—tu—Ty—wi—wi—zdo. Z rozsypanek zgłosek ułożyć pierwszą strofkę znanej pieśni majowej.



W Szwajcarii na jeziorze genewskim łabędzie mają specjalne domki

Patrol Lwów

Powieść z życia obozowego pierwszych skautów polskich z r. 1912.
Napisał Kazimierz Kalinowski. — (Ciąg dalszy)

Wszak na przykład do tego dopuścić nie można, by ich ktokolwiek w leśnej siedzibie podglądał, żaden wieśniak bowiem z okolicznych osad ludzkich nie potrafi zrozumieć, po co ci chłopcy, wcale nie nędzarze, żyją w lesie, gdy mogliby wygodnie mieszkać w pańskim dworze; po co obiad gotują sobie sami na kuchni polowej, gdy mogliby bez troszczenia się o to, zasiąść do gotowego stołu pana Zawiszy; po co śpią niby cygany pod gołym niebem, zamiast w pokojach... Wszystko to tłumaczyliby sobie tacy ludzie fałszywie. Trzeba zatem, o ile to się okaże możliwym, trzymać tryb życia skautowskiego w tajemnicy przed ludźmi nieinteligentnymi, dopóki powoli nie uświadomi się ich i nie wykaże się jaka jest różnica między skautami a cygańskimi włóczęgami.

Wielce się tedy ucieszył młody dowódca oddziału, gdy już z rozmowy z panem Rymszą wywnioskował, że jeśli idzie o Majdan Górecki, nic się tam nie zmieniło dla nich na gorsze. Przeciwnie, nawet teraz cała ta połać lasu stała się jeszcze bardziej niż przedtem bezludną, bo nikt tam nie miewa interesów i nikt nie ma potrzeby tamtymi stronami wałęsać się lub przejeżdżać. Ot, tylko kilka dębów kazał leśnik ściąć drwalom, ale już tego lata zapewne nie zajdzie potrzeba posyłania na tę polanę rębaczy lub traczy.

Zaraz więc, miast wracać na obiad do dworu, poszedł Zawisza z Januszem i Stachem, a w towarzystwie pana Rymszy, na Majdan Górecki i tam dopiero urządzili dla pokrzepienia się popas niedługi, zaprosiwszy — rzecz prosta, i starego Litwina, by wraz z nimi korzystał z zapasów podróżnych. Zjedzono z ochotą co było, śmiejąc się do rozpuku z częstych żartów Stacha Sokolika, który wstawszy po skończeniu posiłku, uraczył jeszcze towarzyszy pięknym śpiewem, ryknąwszy w las znienacka swym tęgim barytonem ze środka wysłonecznionej polany pobudką, ułożoną przez druha Janusza dla Lwów pod wodzą Zawiszy, z myślą o prawie harcerskim:

Husaria skrzydlata
w obłokach przelata,
Zawisza bez broni
w róg złoty nam dzwoni:
Czuwajcie, hufce niezłomnego słowa;
ten tylko wytrwa, kto prawość
zachowa!

Kiedy się dobrze rozejrzeli, uznali, że chyba w całym lesie równie dogodnego pustkowia nie znajdą, że zatem nie warto nawet wybierać się gdzie indziej. Od razu tedy „starszyzna“ oddziału uradziła, w którym punkcie oznaczyć miejsce pod szałas i jak go zbudować, gdzie się urządzi kuchnię a gdzie spiżarnię, jakich materiałów na co potrzeba, ile przydałoby się drzewa. Miał to bowiem być obóz stały, na czas dłuższy i nie wykluczał wcale potrzeby rozbijania niekiedy obozu chwilowego, gdzie wypadnie na wycieczce, co dla Lwów stanowiło drobnostkę, gdyż ustawienie namiotu w pośpiechu nie zajmowało im więcej nad kilkanaście minut czasu. Wówczas młody Zawisza porozumiał się z zarządcą lasów stryja, a pan Rymsza z miejsca wybrał im kilka na ścięcie już przeznaczonych drzew, do których skauci zbliżyli się zaraz z siekierami, zdumiewając wiekowego leśnika swoim doświadczeniem w pionierce.

— U kroćset — zaczynał Litwin pod nosem i nie kończył, jak gdyby na starość miał ochotę, za przykładem ciągle nad swym doskonaleniem się pracujących harcerzy, pozbyć się nawyczki zaklęć bezmyślnych — toż wyście chyba gotowi niebawem obywać się bez szewca i krawca; na każdym kroku, jak widzę, umiecie sobie ze wszystkim sami radzić bez wzywania cudzej pomocy. Dalipan, istne Robinzony!

(Ciąg dalszy nastąpi)